

JAN STUR

**Z KSIĄG
PRAWDY**

LWÓW — 1921.

JAN STUR.

Z KSIĄG PRAWDY.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 74
Tel. 26-68-63

LWÓW — 1921.

<http://rcin.org.pl>



5266

Wykonano na maszynie do składania „Typhograph” w drukarni A. Goldmana
Lwów, ul. Sykstuska 19.

Rzecz niniejsza powstała w Kościankach pod Poznaniem, w maju roku tysiąc dziewięćset dwudziestego i była przeznaczona jeno dla grona najbliższych mi sercem towarzyszy: dla Jerzego i Wiktolda Hulewiczów, Zenona Kosidowskiego, Jana Panieńskiego i innych.

Od czasu, w którym „Zdrojowcy“ poznańscy rzecz niniejszą jeszcze w rękopisie czytali, zaszły — i coraz to zachodzą wypadki — zmuszające mnie do publicznego wypowiedzenia tych prawd paru, niekiedy „starych jak świat“.

Coraz to wyraźniej występuje podział ludzkości dzisiejszej na „niepoprawnych marzycieli“, obrońców wiary w „poza nami“, sądzących, że jeno na podstawie przykazań czystego i prawdziwego chrześcijaństwa: na ulepszeniu dusz, może się oprzeć trwałe odrodzenie Europy — i na wyznawców wojny a rewolucji: wykwitu materialistycznego światopoglądu, sądzących, że jeno inne ukształtowanie równowagi fizycznej, t. j. polityczno-społecznej, może Europę wybawić od złego.

Z kwestją tą ogólnoludzką łączy się ściśle kwestja bardziej lokalna, tycząca się Polski i stosunku autora rzeczy niniejszej do ojczyzny jego.

Tak, jak bowiem o przynależności do danej gromady wierzących rozstrzyga — zdaniem autora — tylko i wyłącznie umiłowanie lub nie-umiłowanie pewnych zasad wiary, tak o przynależności do pewnego narodu rozstrzyga — wedle niego — nie rasa, nie język nawet, ale umiłowanie lub nie-umiłowanie danego narodu, jako pewnej idei wcielającej się w pewien sposób w życie z krwi i kości.

Postawiwszy natomiast fałszywą tezę, o niezmienności cech rasowych (o to mniejsza, zresztą) i, co ważniejsza, zaliczywszy do tych cech — rzeklibyśmy: odruchowych — światopogląd, który wypływa z nich rzekomo z niezmienną koniecznością, a więc rzekomo jeden i ten sam zawsze — orzekł pewien odłam społeczeństwa polskiego:

„Ktokolwiek jesteś nie-aryjskiego pochodzenia, Polakiem i chrześcijaninem nigdy być nie możesz“.

Jak powiedzieliśmy, oba te ściśle ze sobą zespolone problemy: ogólnoludzki i częściowo polski, nabierające coraz większej wagi, zmuszają autora do wystąpienia publicznego. Czyni to jedynie na odpowiedzialność własną, nie obciążając swem credo, ani towarzyszy **sercem** mu najbliższych (o **ideologii** nie rzekliśmy nic) ani nawet żadnego — nakładu.

Rozumie się samo przez się, że to, co zmusza nas dzisiaj do wydania tej rzeczy, zmusiło nas — w swem stadium uprzednim — do jej napisania. Tem tłumaczy się też jej linja — idąca w przeciwieństwie do linji przedmowy, która wyjaśnia całość już powstałą — od sprawy cząstkowej, najbardziej osobiście — bolesnej, ku horyzontowi, ogarniającemu ból całej ludzkości, od reagowania na bodźce świata bardziej zewnętrznego, ku zstąpieniu w głąb duszy „prawdziwszej“ niżli on zewnętrzny świat.

JAN STUR.

Lwów, w kwietniu 1921.

Część I.

Śpiew począł głos pokutnika:

Tak piękny ranek. Jak mógłbyś karać mnie Panie.
Ludziom spowiadać się boję; ludzie gorsi są.
Panu spowiadać się nie boję; Pan lepszy jest.

Dzień zemsty po furji stepu pędząc, krzew ujrzał. Krzew nadwątlonej róży. Byłem w liściach drzeniu.

Dzień zemsty po furji morza pędząc, statek ujrzał. Statek bez steru i żagli. Byłem w zardzewiałym kół chybotcie i we wrzasku ludzkim.

Dzień zemsty serce me począł tratować. W gardło się wpił, skrzydłami bijąc w oczy, ostrza w podniebienie pchając: ostrza bólów, niby grad, tłukących.

A póki Dzień zemsty trząśł drzeniem krzewu —

I póki Dzień zemsty trząśł statku chybotem —

Ale gdy począł się dobierać do serca, nieubranego w nic:

Różową stała się czerń,

krzak róży wspomagając.

Ustateczniło się zbałwanienie gniewu,

steru mi przydając.

W serce anioł-chrystusowy spłynął.

Złączyły się dłonie: Łaski i Kary.

Chłonałem oczyszczenie spowiedzi:

I o grzechach swoich tak zawodził głos pokutnika:

Siedziałem u stołu i słuchałem. A z Żydów się wywodzę. Żydzi Chrystusa ukrzyżowali. Chrystus-Bóg z Siebie jest. Chrystus-Człowiek z Żydów jest.

Są Żydzi źli i dobrzy. Więcej jest złych. Znikczemnieli. Nie mieli słońca. Nie mieli gleby. Byli — obcy.

Zły Żyd jest bardzo zły.

Ale dobry Żyd jest dobry bardzo. Dla koniecznej stąd przeciwwagi.

I o tyle dobry Żyd jest lepszy od złego, o ile jest więcej złych Żydów, niż dobrych. Dla koniecznej stąd przeciwwagi.

Powiedzcie:

Gdyby kto przyszedł i rzekł Wam: „Przynoszę Wam Słowo i Światło“.

Słuchalibyście?

Powiedzcie: „Może“.

Ale gdyby kto rzekł: „Z Żydów się wywodzę. Przynoszę Wam Słowo i Światło“.

Powiedzcie: „Krzyczelibyśmy: Żydzi Chrystusa ukrzyżowali!“ „Chrystus-Człowiek z Żydów był“: przemilczelibyście.

A ja pragnąłem byście mnie słuchali.

Przeto siedziałem u stołu. A z Żydów się wywodzę. Kiedy Żydów lżono, czyniłem, jako Wy.

Zbawiciela zaparł się Piotr.

Głos pokutnika tak dalej śpiewnie zawodził:

Czem jest nazwanie w metryce, lub w chrzcie świadectwem, nie w świadectwie żywym?

Czem imię nadane dla obrzędu?

A jam Łaskę jeno chciał sprawować sobie.

Imię darowałem, darowałem sobie.

Z rozmysłu. Z rozmysłu nieświadomości. Z nieświadomości rozkazu. Z rozkazu, który rzekł: powiedz sobie: „Jan“.

I powiedziałem sobie: „Jan“.

I jestem: Jan.

Wzmocnił się głos pokutnika i donośnie tak mówił:

My nie stąd. My obcy. A Tyś obcy wśród obcych.

Z pogaństwa obcego Jagiełło był i Jagiellonów chwala.

A z chrześcijaństwa obcego Mickiewicz.

A z bardzo obcego Słowacki.

Bo genezyjską sprawą stanął w poprzek kardynałów Waszych.

Więc kardynał Wasz stanął w poprzek jego trupa.

A kardynał Wasz trup, a Słowacki żyw.

Kardynał jest — Wasz i kościoły są — Wasze i egoizm
narodowy — Wasz.

Ale duch Słowackiego brata się z moim duchem.

Ale Bóg Chrystusa moim jest Bogiem.

I Polska Chrystusa moją jest Polską.

Słusznieście rzekli:

Wasza Polska, nie jest moją Polską.

Tam jest Ojczyzna człowieka, gdzie jest jego serce. Gdzie
jest jego męka. Gdzie jest jego natręctwo. Gdzie mówią: nie jesteś,
a on milczy: jestem. Gdzie krzyczą: nie jesteś, a on mówi: jestem.
Gdzie plwają: nie jesteś, a on kocha: jestem.

*Tu zestąpił o oktawę głos pokutnika, jakgdyby o rze-
czach niezrozumiałych, na wiatr szeptanych, mówił:*

Jest odpowiedzialność za nienapisaną księgę.

Może paść naród dla nienapisanej księgi.

Może paść ludzkość.

Służbą ponad służby przeto: Słowo niezrodzone przeoblekać
w kształt.

Zważcie!

Rodzi się Piłsudskiego legion z legionu Żeromskiego i Wy-
spiańskiego. Ich zasię zrodził Słowacki.

Gdyby Słowacki był zginął za Ojczyznę, życiem swoim
zmartwychwstania Ojczyźnie nie dawszy, byłaby Ojczyzna zginęła
za Słowackiego skon.

W demokratycznym ustroju,

Nie: w demokratycznym z Ducha,

W demokratycznym z maszyny:

Plecak Ezechielowi dają, a Beethovenowi w bęben bić każą.
Trębaczem mianują anioła Sądu.

Na czele — Archanioł Gabriel w marszałkowskim kroczy mun-
durze.

Nie służyłem w legionach.

Zrodzi się legion Ducha z mego czynu.

*W płacz nie tylko nazwany serdecznym uderzył głos
pokutnika:*

Nie to! Nie to!

Dźwigałem w sobie niewiedzianą wiedzę — i może dobry by-
łem, tym albo owym ją głosząc. Słuchajcie! Choć Cel jedyny.

miał-ci mi przyświecać, jak błyski — duszę mą rozliczne przecho-
dziły cele. I gdym do chłopaka gadał, myślałem: może stanie się
mym przyjacielem. A do dziewczyny: może mię pokocha —

*Tłukł się głos pokutnika, jak wichur o sercu złama-
nem, wznosił się i opadał z rytmem bólu swego i w naj-
straszniejszym zapodział się rozjęku:*

Dawne to zmierechy duszy mej. I gdym jeszcze mocno nie
wiedział. Na przecuciu jeno, jak na fujarce grając: wie fujarka,
co melodia śpiewa; ale pastuch, czyż wie? On — słucha.

Wy myślicie: pastuch — gra:

Pastuch za melodią idzie. Zagubionej melodji — dalszego
ciągu szuka. Trzodę rzuci — i w obczyznę pójdzie. Obczyzna się
ukaże, a okaże się: ojczyzna to.

Ale gdy zobaczy, gdy twarzą w twarz z wątkiem pieśni stanie
i spojrzy w jej bezdenny Dzień —

I jeszcze nie odróżni —

Ale pomięsza wolę dla siebie z wolą dla celu;

I przeto mówić będzie: czyń tak!

Lub: nie czyń tego?

Jeżeli ukarze mię Pan utratą spokoju — dobrze. Jeżeli na
sąmotność mię wieczystą skarże — dobrze. Jeżeli mię choroba,
głodem i nieszczęściem skarże — dobrze.

Tylko nie odchodź, Panie odemnie!

Tylko Ty nie odchodź!

Nie opuszczaj mnie!

*Trzy dni niemy był głos pokutnika, a gdy wyrok —
Wam niewiadomy — otrzymał, tak począł prorokować
światu:*

Wala się węgle z czarnych chmur łopotem,
Ze skrzydeł czarnych nocy — sączą się krople krwi,
Idzie skon.

Wala się belki domostwa twego, Europo,
Klątwy jaskrawe, jak twoje rumieńce,
Biel popiołu, bezwstydnosci szara, spopiелona biel
Idzie w twe łoże, Europo, ładacznico!

Z traskiem kurhanów wyjących gęba rozwarta,

Z trzaskiem gąb twoich umarłych, wyjących: żyjemy!
 Z kielichów wzniesionych toastem kościołrupów,
 Z rykiem tłuszczy, goniącej za ciężarną samica,
 Z krasomówczym świętem prawodawców twoich,
 Z brzękiem kajdan,
 Z sali sądowej trupiarnią,
 Z pędem lokomotyw szczękających w trwodze zębami,
 Z czarnych dymów czarnych fabryk, czarną dłonią pracująca
 Z chorałem wszystkich serc, modlących się Panu — w świę-
 tyniach rozjękły się gruzy — spadają dzwony — dygocą krzyże —
 zstępują Chrystusy o czaszkach rozłupanych, litości zebrząc —
 śmiecie się — śmiećcie —

Albowiem wśród grzechu nie można być bez grzechu!

Aż przychodzi wielki pokuty Dzień.

I odrzuca się swój grzech przed grzeszników oczy, jak dywan wielobarwny.

Niechaj stąpają po nim. Jak lwy wściekle niechaj go w strzępy gryzą i niechaj kawały po rynkach miast obnoszą, krzeczac: oto winy człowieka! oto winy człowieka!

I niechaj winami człowieka sierść zjeżoną okrywają, zęby krwią ociekające, pazury dymiące od saren rozerwanych.

Aż przychodzi wielki pokuty Dzień.

I odrzuca się swój grzech przed grzeszników oczy,
 Jak dywan wielobarwny.

I w nagości staje się czystej.

I mówi się:

Jam jest!

Tańczyłbym i śpiewałbym,

Rymami-bym gadał.

Nie mogę! Nie mogę!

Ze zbytnej radości Słowo mię rozpiera.

Nie może wyjść ze mnie.

Przelewa się, rozlewa się;

W cząstkę każdą wsiąka.

Piję rosę.

Rośliną jestem pijącą rosę.

W ziemię mą wrosłem.

W niebo me wrosłem.
W Ciebie, o Boże, o Boże!

Chodźcie! Wywiode Was z miasta!
Przed trzęsieniem uciekniecie ziemi.
Nie zwałą się mury na dzieci kołyski.
Nie stanie się dom Waszą trumną.

Chodźcie! Wywiode Was z miasta!
Wszystkich Was oczyściłem!
Ukorzyłem Was wszystkich przed Panem!
Chodźcie! Powiode Was, kędyście nie chcieli,

Jeno teraz dobrą wolę miejcie,
Jeno teraz dobrą wolę miejcie,
Dobłą wolę!
Dobłą wolę!

Przyjde — powiada Pan —
Groźny i dobry,
Ogień niosący i wodę,
Chorobę i leki,
Grzeszniki i proroki,
Jawę i sen.
Wy to przyjdziecie.
Jam jest bowiem w Was.

A wszystko zależy od ludzi.
A wszystko ODEMNIÉ zależy.

Z wiedzącymi PRZYJDE albo — li na ciemni —
Tulą się do Mnie dwa drogie łby.
Psów drogie łby tulą się do Mnie.
Dwa drogie języki oblizują Mnie.

O ludzie!
Wierzący!
O wierni!



Część II.

*Tako śpiewał pokutnik, ze świata w duszy zstąpiwszy
głąb.*

O BOLU.

„Panie, czemu jesteśmy tak biedni.

Czemu jesteśmy?

Czemu jesteśmy, jako te woły?

Czemu jesteśmy?

Czemu jesteśmy pędzeni na rzeź
Twego wesela.

I — Bólu? —

Pogłaskał Bóg me lice,

Powiedział Pan mój tak?

— „Prorok i ciernie,

Ciernie i ja.“ —

Więc mu odrzekłem:

„Pójdziemy“.

Kto nie pochylił się niby brzozy łan?

Kto minuty nie rozrywał, jak zleżałych szat

i nie, wyciągał we wieczność swych stawów?

Kto nie spoglądał na siebie, jak na wór pełen popiołu?

Kto nie stawiał stopy swej na głowie swej, aż czasa pękła?

I utwierdziwszy stopą odnowa życie na fundamencie trupa
własnego (zabił się sam) nie chwycił promieni niebieskich?

Każdy z nas pada: w boju, na ulicy, w miłości,

Każdemu matka zmarła, lub syn, lub złodziej go okradł,
lub za złodziejstwo wtrącono go do więzienia.

Każdy gorączkę miał, lub nadzieję, lub w rozpacz — niby
w bramy piekielne — wchodził —

Bośmy biedni wszyscy,

Ale nie wszyscy boleśni —

Bośmy do Twego Stołu pędzeni,

A jednak — a jednakże — nie wiedzący nic —

Oto jest Bólu przyjęcie,

Jego wiedza i pokora,

Oto stanie w miejscu:

Kiedy leje się ślina wszystkich zazdrości,

Leje się jad wszystkich niezrozumień,
 A Ty, jak ręka Chrysta w białości umartwiona,
 Świadczysz: niema zazdrości, niema niezrozumień.
 A czasem sięgasz w swą głąb,
 Wymujesz wczoraj przeżyty Dzień,
 Pod światło tabliczkę Dnia wczorajszego kładziesz,
 A skazę znajdując najmniejszą
 Palce swe w zęby zamieniasz,
 Gryziesz się w żałości,
 Duszę swą skręcasz niby ścierkę brudną
 W konwulsjach skruchy oczy swe zatracasz
 I karłując w swych łzach
 Rośniesz a rośniesz,
 Rośniesz a rośniesz,
 O tyła rośniesz, o ıla nad Ciebie Ból:

Że jeszcze Bogiem nie jesteś,
 Że jeszcze Człowiekiem nie jesteś,
 Że nawpół rozwarte oczy Twoje,
 Żeś jednooki król —
 Między ślepcami,
 Żeś żebrak w łachmanach —

Wśród żebraków nagości,
 Żeś okruchy dwa podjął z jądła Pańskiego,
 Gdy inni żadnego nie podjęli okrucha:
 Ni żołnierz ten,
 Ni tamten nauczyciel,
 Ni papież ten,
 Ni tamten król, co zmarł —
 — A jeno słowik, wie raczej, co Bóg,
 A raczej pies skomlący jeszcze wie, co Bóg —

Że tako jest w świecie:

W salach wykładowych retorty pokazują,

Wnętrze spróchniałe maską gipsu kryją,
 Pancerze puste, w pustych salach stawiają,
 Mówią do nich: idź.
 Więc chrzęszczy stal, ruszają się napierszniki,
 Kity powiewają u hełmów,
 Czyni się czar.

Aż zgrzytnie klucz, aż rozerwą się drzwi,
 Aż przyjdzie odźwierny, śmiechem cierpiącym rozśmiechnięty
 I zaproszonych blaszanek
 Dotknie wzroku dobrotliwą tonią,
 Dotknie wzroku wiedzącą tonią,
 Spyta się chrześzczących mar: Kto ty?
 Spojrzy mara w siebie.

A gdy raz wtóry spyta się odźwierny,
 (Teraz jeno: Co ty?),

Odrzeknie mara wondrous,
 Odrzeknie mara wondrous:

N i c .

O PŁACZU.

Gdyś jeszcze mało wierzył, bracie,
 Siostró, gdyś nie wierzyła jeszcze wcale.
 Albo: gdy niezmierną zdała ci się wina świata,
 Jeszcze większa Twoja —
 Przyszedł do Ciebie ktoś w zmierzch liliowy,
 W południe czerwone ktoś przyszedł do Ciebie,
 W zorzę —
 W czarną nieprzespanych, gigantycznych drgnień w Twem łonie,
 Kto przyszedł do Cię, siostró?
 Ujął rękę Twoją, bracie.
 Siadł.
 Nie przemówił.
 Tyle słów spłynęło w Ciebie:
 Jedno czucie.
 Siostró? Kto tak lekko dotknął piersi Twych?
 Rozstały się.
 Jak kotara, tak się rozstały.
 Znikła ciała Twego biel,
 Ciała Twego róż.
 Gdzie jest Twego ciała biel i róż?
 Bracie, kto uderzył w serce Twe?
 Kto się Twojem sercem stał?
 O, jak mała komóreczka,
 O, jak przestronna komóreczka,

Chyboce się, chwieje —

Tak — tak.

Tak — tak.

Lasy grają. Szumią ptaki.

Wykwitają paprocie. Od ziemi po niebo rosną,

Złoto-zielone liście słońce przesłaniają.

Podściółka słoneczna przez żyły paproci prześwieca.

Owad jeden na żyłach liści siadł,

Gąszcz — tężeje,

Kamienieje,

Zastygają leśne kłody,

W niebo zaszły,

Ptaków szum —

Śpiewów szum —

Czy — — —

— — — — Świątynia?

O zmierzchu do mnie przyszedł, nie wiem kto.

Nad ranem do mnie przyszedł, nie wiem kto.

Jeszcze nie wiem nic.

Jeszcze nie wiem nic.

Pierwszy wiedzy błysk.

Pierwszy wiary akt.

Ł z a .

O MĘCE.

Już nie ruszają się liście.

Czarna chmura światłem jaśnieje.

Chylą się pnie. Skręcają się lłany. Żółknieją korony.

Krzyczą ludzie. Mordują ludzie. Zawodzą ludzie.

Wszędzie — wszędzie — wszędzie.

Chrysta dłoń nie może już nieruchomym świadectwem być.

Chrysta dłoń nie może już nieruchomym świadectwem trwać.

Palce jej szepcą,

Żyły jej szepcą,

Gwarzą jej przeguby,

Opowiada jej skóra:

Każde jej naczynie pragnie

Znowu spłynąć krwią.

Twarz ku górze łśni.

Ciągle naprzód łśni Twej twarzy krok.

Idziesz — idziesz —
 Chryste! — Janus!
 Przeszłość — przyszłość —
 W jedną chwilę spajający Bóg.

Idziesz, idziesz — lwice krzyczą — porykują byki,
 Luna. Chaty i pałace tańczą opętańczym szaleń,
 Idziesz poprzez ciemny las.

Smukłe pnie.

Gdzie gałęzie? Kędyż liście?

Męczenników twarze — twarze —

Płyną w puste Twe orbity męczenników łzy,

Czeka na Cię trumny krzyż,

W Tobie skoczna jest śpiewanka,

Melodyjny krok.

Jużeś doszedł.

Z krzyża zardzewiałe gwoździe rwiesz.

Trafiasz —

W serce.

Oto jeszcze jeden pień.

Poza rzędem pni.

Poza lasem.

Poza krwawym, czarno-krwawym rzędem pni.

Jeszcze — jeden —

O MATCE.

Jest...
 Gdzieś.

Nie zwiastował jej anioł,

W rozkoszy,

W Bólu,

— Mnie.

Poczęła, który-m ją rzucił.

Zrodziła, który-m ją kłuł.

Siwa.

Schylona.

W sercu krzyk bijący Boga mego w twarz.

Ryk lwicy przy pustym legowisku.

Zwalenie się chudych rąk.

Kat zarzucił mi na szyję stryczek.

Matko!

POŻEGNANIE.

Struna.

W letarg skamieniała.

Miłość brzmi.

Dłoń dotknęła:

Twoja — ? Wasza — ?

Jam pokorny.

Kim ja?

Czem ja?

Ja przybyłem:

Po co?

Czemu?

Aby pójść.

Aby ruszyć.

Aby podnieść.

Aby uczcić,

By uzdrowić:

Was w mem sercu

Siebie w Was.

Więc usypcie mi mogiłę:

zapomnijcie!

Więc stawiajcie urny z prochem

— z moim prochem —

Poprzed bramy Waszych domów.

I siadajcie i gawędźcie

O wieczności.

I wezłowiem kładźcie serce

— moje serce —

Snom o Bogu,

Waszym snom.

Meteorem skądś przybyłem

I poszedłem.

Jam był —

obcy —

Kościanki, w maju 1920.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



Z DRUKARNI A. GOLDMANA, LWÓW, UL. SYKSTUSKA 19.

5266